GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 KWIETNIA 1935 R.

NR. 7 ROK V

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. GR. 50

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 7

1935 R.

1 — IV

STANISŁAW SKWARCZYŃKI

STRUKTURALNE BRAKI ROLNICTWA POLSKIEGO

Rolnictwo polskie ma trudności w dostosowaniu się do gospodarczego systemu kontynentu europejskiego. Powodem tego są braki społeczno - gospodarczej struktury rolnictwa, które w kulturze cofają nas o wiele lat wstecz. Fakty te powszechnie znane, — wymagają większego uwzględnienia przy doborze środków i metod działania polskiej polityki gospodarczej.

Całokształt środków stosowanych w polityce gospodarczej w walce z kryzysem na odcinku rolnictwa, wydaje się być ściśle związany z jego objawami natury przedewszystkiem konjunkturalnej. Dotyczą one zagadnień cen, podaży, popytu, eksportu, zadłużenia, a więc tych zjawisk, które stanowią niewątpliwie pointę dzisiejszej sytuacji w rolnictwie. Stan rzeczy w przytoczonych wyżej wypadkach jest wynikiem sytuacji ogólno-gospodarczej, a więc łączy się bezpośrednio z przesileniem powszechnem, które jednak zdaje się być zjawiskiem konjunkturalnem.

Jest rzeczą powszechnie uznaną, że rolnictwo nasze, obok bolączek o charakterze konjunkturalnym, cierpi nadto na znaczne braki, których źródłem są nie chwilowe niedomagania powojenne, ale warunki i czynniki zewnętrzne, historyczne i geograficzne, w jakich i pod których wpływem kształtowało swą strukturę społeczno - gospodarczą w szeregu lat przed wojną, sięgając daleko w wiek XIX. Jest rzeczą również pewną, że braki te, nazwijmy je strukturalnemi, w jakiś sposób wpływają,—potęgują lub osłabiają,—reagowanie rolnictwa na układ sił konjunkturalnych, a więc stwarzają pewne okoliczności, które powodują, iż teoretyczny względnie wypraktykowany w innych warunkach przebieg niektórych zjawisk, w warunkach polskich przybiera inne formy. Zgoda na tę tezę musi za sobą pociągnąć zrozumienie dla konieczności przeprowadzenia analizy struktury polskiego rolnictwa przy szukaniu środków dla zwalczania przeciwności konjunkturalnych.

Struktura rolnictwa polskiego oraz jej braki nie są w zasadzie sprawą obcą dla polityków gospodarczych, dlatego wskazywanie na nie byłoby „wywalaniem drzwi otwartych". Chodziłoby w tym wypadku o co innego. Rzeczy te są dostatecznie znane w teorji, natomiast zamało uznawane z chwilą, gdy się podchodzi do rozwiązywania zagadnień w życiu praktycznem. W odniesieniu do rolnictwa w tej sferze działalności dominuje do dziś mentalność przemysłowa (kapitalistyczna), a jeżeli rolnicza, — to oparta na wzorach zachodnio - europejskich lub amerykańskich. Niewątpliwie przyczyną tego są właśnie „braki strukturalne" w sposobie myślenia, a więc braki niezupełnie o charakterze gospodarczym, spowodowane tem, iż większość naszych czynnych polityków gospodarczych wyszła ze szkół zachodnio - europejskich, a nie mając tradycyj polskiej polityki ekonomicznej, nie zna jej rzeczywistości. Wobec tego momenty strukturalne chwytane są przy okazji załatwia-

nia spraw bieżących, — przeważnie pobieżnie i bez związku z całością, a więc przeoczane są ich punkty styczne, a temsamem wzajemna zależność.

Szereg braków strukturalnych naszego rolnictwa uzyskało już wszechstronne oświetlenie, — wiele innych znanych jest z okazyjnie nadmienianych tu i ówdzie uwag. Jednak wspomniany już brak tradycji polityczno - gospodarczej wywołuje nietylko, gdy się staje wobec przedsięwzięć o charakterze długofalowym, konieczność zsumowania tych zjawisk, charakteryzujących naszą strukturę, niezależnie od tego, w jakiej mierze mogą być one truizmami. W odniesieniu do rolnictwa, ze względu na nieznajomość tego terenu przez lwią część ekonomistów nigdy nie wydaje się być dosyć bębnienia rzeczy powszechnie znanych w sferach rolniczych. Chodzi tylko o poziom ich ujęcia. Nieznajomość tych spraw rozszerza się również na większość inteligencji miejskiej, która z racji swoich wpływów jest niewspółmiernie do swego znaczenia silnym elementem w stwarzaniu opinji w sprawach gospodarczych. Moment ten w dalszym ciągu skłania do przypominania i syntetyzowania pewnych uznanych przez fachowców, a niedostatecznie spopularyzowanych zjawisk.

Pewne właściwości struktury naszego rolnictwa, które ze względu na ich ujemny wpływ na jego rozwój gospodarczy, nazywamy brakami, niezawsze mają charakter czysto ekonomiczny. Niejednokrotnie leżą one poza sferą tej działalności, a tylko jako pobudki działalności człowieka mają swój odzew w życiu gospodarczem. Do pierwszej kategorji braków zaliczyć należy przedewszystkiem najsilniej i gruntownie naświetlone kwestje struktury agrarnej i przeludnienia. Powtarzać się nie mam zamiaru. Wspomnieć jednak muszę, że chociaż zagadnienia te w każdym razie odgrywają niepoślednią rolę, nietylko w polityce agrarnej, ale i wewnętrznej, — nie są one czynnikiem wyraźnym w polityce produkcji rolnej, jak również nie jest dostatecznie widoczny ich wpływ w polityce i organizacji zbytu płodów rolnych. Należy stwierdzić, iż zagadnienia te istnieją oderwanie, bez łączności i bez jakiegokolwiek wpływu na wybór i stosowanie środków polityki w zakresie cen i eksportu.

Również, zwłaszcza w ostatnich czasach modnego regjonalizmu, poruszana jest często sprawa różnic, jakie istnieją pod względem gospodarczym pomiędzy poszczególnemi dzielnicami. Różnice te dotyczą wszystkich braków strukturalnych rolnictwa, przyczem nasilenie ich w poszczególnych okręgach gospodarczych stanowi bodaj najbardziej istotne przyczyny konieczności stosowania odmiennych metod i środków. Rozmaitość w układzie ich do tego stopnia jest tu dominującą, że dzięki niej niejednokrotnie zatarta zostaje zasadnicza podstawa rejonizacji, jaką są warunki przyrodnicze i geograficzne (naturalne), na korzyść warunków ekonomicznych. Stąd często w naszych stosunkach, wskutek różnych warunków ekonomicznych muszą być rozdzielone na dwa odmienne okręgi, tereny, które tak pod względem glebowym, klimatycznym jak też położenia geograficznego tworzą identyczny obraz (przykład: Kujawy). I w strukturze naszego rolnictwa nie jest anomalją to zjawisko, że różnice te istnieją, — że rozpiętość różnic jest większa niż gdzieindziej; zdarza się to w najbardziej zwartych organizmach gospodarczych. Brak strukturalny, w tym zakresie polskiego rolnictwa polega na tem, że dominantą dla określenia granic pewnych całości stały się nie warunki przyrodnicze i geograficzne, ale właściwości struktury społeczno-gospodarczej wsi, które źródła swe mają w całowiecznym kształtowaniu się pod wpływem odmiennych stosunków politycznych.

Różnice regjonalne, ich marża i charakter, wydają się być tym elementem w naszej polityce rolnej, który będzie musiał przez jeszcze długi okres czasu krępować ruchy i swobodę działania polityki gospodarczej w stosunku do całości, jeżeli nie będzie się chciało, by była ona narzędziem do uprzywilejowania pewnych dzielnic i pewnych gałęzi życia gospodarczego. Nie byłoby trudno wyliczyć elementy naszej polityki rolnej, które świadomie czy nieświadomie (niewiadomo co gorzej) w tych kierunkach oddziaływują. Pierwszorzędnym przykładem jest tu polityka zbożowa, dalej polityka cukrownicza i spirytusowa, jeżeli chodzi o protegowanie dzielnic, — również polityka zbożowa, jak też cały system popierania eksportu rolnego, jeżeli chodzi o pewne gałęzie życia gospodarczego. Ze względu na skalę rozmaitości regjonalnych rzeczy te zapewne są nie do uniknięcia: trzeba jednak by nie były mimowolne względnie, by nie stanowiły środka dla wygrywania jednej dzielnicy przeciw drugiej, — przeciwnie, by stały się świadomym środkiem w polityce produkcji, mogącej mieć takie czy inne cele regjonalne na oku.

Nasilenie wszystkich braków strukturalnych, a więc i wymienionych już wyżej, dotyczących podziału ziemi i przeludnienia, jest rozmaite w płaszczyźnie regjonalnej. Zależne są one naogół od stopnia kultury gospodarczej z okresu przedwojennego, potęgują się więc w tem nasileniu zasadniczo idąc z zachodu na wschód. W zakresie raczej prywatno-gospodarczym wymienić należy przedewszystkiem brak kapitałów będących w dyspozycji rolnictwa. Nie chodzi tylko o niedostatek kapitałów obrotowych, co jest raczej zjawiskiem konjunkturalnem. Rolnictwo nasze za wyjątkiem zachodniego odznacza się ubóstwem kapitałów zakładowych. Być może, że pod kątem widzenia załamania się konjunktury, gdy ciężary utrzymania ich są zbyt trudne do zniesienia, warunki pozwalające na zwrot ku gospodarce ekstensywnej można poczytać raczej za korzystne. Jest jednak rzeczą niewątpliwą, iż brak ich wybitnie da się we znaki z chwilą ożywienia konjunkturalnego, nie pozwalając na odpowiednie wykorzystanie zmiany stosunków. Zresztą ubóstwo pod tym względem świadczy pozatem o ubóstwie majątku narodowego, kultury gospodarczej i stopy życiowej warstwy rolniczej, a temsamem o jej możliwościach w kształtowaniu postępu gospodarczego.

Pokrewną cechą naszego rolnictwa są znaczne pozostałości z ubiegłych faz rozwojowych życia gospodarczego. Są to skłonności do samowystarczalności. Zabytki te są poniekąd zrozumiałe w naszych warunkach, — niezależnie jednak od tego, **stan ten jest bezwarunkowo anomalja i ujawniana**

niekiedy dążność do nawrotu w tym kierunku nawet w obecnej sytuacji wydaje się być przesadą. Jest on szkodliwym nietylko ze względu na sprawność gospodarstwa społecznego, którego istotą w dzisiejszym systemie jest wymiana usług, ale nawet wywiera szkodliwy wpływ w zakrsie kierunków produkcji. Wydaje się bowiem być pewnikiem, że stosowanie nawet w najmniejszych (karłowatych) gospodarstwach upraw zbożowych jest następstwem tych skłonności. Nawiasowo należy dodać, że skłonności do rozszerzania upraw zbożowych podsycane są w dużym stopniu przez system obecnej polityki zbożowej.

Czynnikiem zewnętrznym, który w wysokim stopniu mówi o strukturze gospodarczej, jest rozbudowa sieci komunikacyjnej. O jej brakach, sądzę, że zbyteczne są wszelkie uwagi. Zacytuję tylko powiedzenie kogoś z Wileńszczyzny: „Dajcie nam takie drogi i taką sieć kolejową jak w Wielkopolsce, a z resztą sami sobie damy radę".

Tak z brakiem kapitałów i skłonnościami do samowystarczalności, jak z ubóstwem sieci komunikacyjnej, łączy się bardzo istotny brak strukturalny rolnictwa, od którego dziś, w okresie trudności zbytu, bodaj najbardziej zależy bliskość poprawy jego położenia. Jest nim to, że rolnictwo tworzy „słabą" (i to bardzo słabą) stronę na rynku. Niedocenianie tego zjawiska przez bieżącą politykę gospodarczą jest najbardziej istotną przyczyną, z powodu której zawodzą (względnie nie działają w 100 proc.) wszystkie te środki pomocy dla rolnictwa, których działanie skierowane jest w stronę cen płodów rolnych, kształtujących się w urządzeniach rynkowych (giełdach, targowicach, przetwórniach), gdzie producenta rolnego najczęściej wogóle niema, a jeżeli jest, to występuje jako strona bierna, przyjmująca, a nie dyktująca warunki zbytu. Największe i bodaj jedyne, przynajmniej do niedawna, korzyści uzyskiwane przez rolników na zasadzie takich środków, jak interwencja zbożowa, popieranie eksportu, były do zanotowania w Wielkopolsce i na Pomorzu, między innemi dlatego, że strona rolnicza dzięki organizacjom w każdym wypadku posiada tam pozycję silniejszą niż gdziekolwiek indziej. W innych dzielnicach, o niższej kulturze gospodarczej, nie do rolnika dochodzi zwyżka cen płodów rolnych o zwrot cła + plus premja — koszta transportu.

Jak już wspomniałem, o strukturze naszego rolnictwa decydują nietylko cechy czysto gospodarcze. Na pierwsze miejsce wysuwa się sprawa oświaty. Trudnoby się było pisać w całości na opinję prof. Władysława Grabskiego, że jest ona czynnikiem najważniejszym w rozwoju kultury gospodarczej. Bezwarunkowo, że rozszerzenie choćby w najmniejszym stopniu horyzontów ułatwia w znakomity sposób zwalczanie przeciwności na tem polu; świadczy o tem dr. Dziedzic w swej monografji pow. wadowickiego. Niezależnie jednak od stopnia, jaki się przypisze znaczeniu oświaty w życiu gospodarczem, jest rzeczą niewątpliwą, że brak jej jest bardzo istotną bolączką wsi naszej, i że postęp jej walnie się przyczyni do podniesienia gospodarczej sprawności ludności rolniczej. Do braku oświaty stoi w pewnym stosunku coś, co się zwykło określać jako w kierunku zmian w konserwatyzm wiejski, a więc rezerwa w stosunku do nowinek i prób w systemie gospodarowania. Zanikanie tego objawu w dużym stopniu posuwać się będzie z postępem oświaty.

Niewątpliwie brakiem w strukturze społeczno-gospodarczej naszej wsi jest to, że jednak przewagę w tworzeniu „opinji rolniczej" mają ziemianie. Nie chodzi o to, że ziemianie, a więc zasadniczo inteligencja wiejska. Byłoby bowiem rzeczą naturalną, że przewodnictwo warstwy rolniczej pozostaje w rękach inteligencji wiejskiej, a więc przeważnie właścicieli większych warsztatów, którzy tak z racji pochodzenia, jak też dzięki warunkom materjalnym mają możność uzyskania wykształcenia i wyrobienia sobie szerszego poglądu na świat. Brakiem w tym wypadku jest to, że nasza warstwa ziemiańska mimo tych warunków, jakie posiada, nie zawsze ma odpowiednie kwalifikacje tak intelektualne, jak zawodowe do obejmowania tego przewodnictwa. Często brak jej nietylko rolniczego wykształcenia, względnie zżycia się z praktyką rolną, ale również zwłaszcza ta największa, interesami gospodarczemi jest bardzo często ściślej związana z innemi gałęziami gospodarstwa społecznego, będąc od nich finansowo uzależnioną; przy tem wszystkiem nie może być przeoczony fakt również odnoszący się przedewszystkiem do tych największych właścicieli ziemskich, że zamieszkują oni większą część poza swym właściwym warsztatem pracy. W tych warunkach jednostki obejmujące przewodnictwo warstwy rolniczej bezwzględnie nie mogą mieć zrozumienia dla istoty zainteresowań ogółu rolnictwa nietylko włościańskiego, ale również jednofolwarcznego drobnego ziemiaństwa. Jest więc brakiem strukturalnym, że ludzie o tym typie gospodarczym nadają charakter opinji rolniczej, narzucając temsamem całości politykę partykularną, bez uwzględnienia interesów większości małych i średnich warsztatów rolnych (kat. A. i B. według rozp. oddłużeniowych). Również szkodliwym oddźwiękiem tego stanu rzeczy jest to, że pod wpływem kierunków myślenia nadanych przez wielkie ziemiaństwo, kształtują się i urabiają pojęcia inteligencji miejskiej, w przeważnej swej części tradycjami, względnie snobizmem grawitującej do tej warstwy społeczeństwa. W tych warunkach, tem jaskrawiej występuje brak równowagi w reprezentowaniu interesów drugiej części społeczeństwa rolniczego, zwłaszcza, że inteligencja stąd się wywodząca, bardzo często odrywa się sposobem myślenia i odczuwaniem potrzeb od swego dawnego środowiska. Może zbyt drastycznem byłoby popieranie tych twierdzeń faktami z naszej bieżącej polityki rolnej. W większej części trzebaby się było powtarzać, wymieniając te same przykłady plus parę innych.

A teraz słabość naszych organizacyj rolniczych, o konstrukcji wzorowanej na organizacjach przemysłowych i handlowych. Czy jest to brak strukturalny, a jeżeli — to w jakiej mierze. Sądzę,

że samo zasadnicze antikartelowe stanowisko oraz zwalczanie systemu cen związanych przez rolnictwo. nie pozwala na uważanie za brak strukturalny polskiego rolnictwa nieistnienie organizacyj rolniczych o typie kartelowym. Zresztą istota produkcji rolniczej nie pozwala na sprawność tego typu organizacyj, których zadaniem byłoby zbyt wiążące oddziaływanie na rozmiary produkcji i formy zbytu. A zatem co jest niemozliwe do zrealizowania, trudno jest uważać za brak. Inne zagadnienie tworzy słabość organizacyj tworzących opinję rolniczą i trudność jej formowania, dalej organizacyj zbytu i spółdzelczości; braki tu występujące tworzą łączną płaszczyznę z poprzednio wymienionemi, i usunięcie ich wydaje się być w bezpośrednim stosunku do postępu oświaty.

W stosunku do struktury gospodarczej świata, rolnictwo polskie na skutek swych braków ma trudne do określenia stanowisko. Zasadniczo, struktura rolnictwa wszechświatowego, rozpatrywana w płaszczyźnie geograficznej uległa w ciągu ostatnich 100 lat ogromnym przemianom. Najbardziej zasadniczym ich wyrazem jest przesunięcie się niektórych gałęzi produkcji rolnej (wytwórczości roślinnej), nadających znamię ekstensywności danemu rolnictwu, ogólnie biorąc do krajów nowych gospodarczo. Ich dawne miejsca w krajach starych, zajęte zostały przez rozszerzenie się produkcji, wymagającej większych nakładów kapitału i pracy, jak hodowla i uprawy ogrodowe. Geopolityczne położenie Polski na kontynencie europejskim wydaje się wskazywać, że i ona powinna by się znaleść na tej drodze, t. zn. że tendencje rozwojowe w produkcji rolnej powinne się u nas przesuwać z wytwórczości roślinnej (ściślej zbożowej) na wytwórczość zwierzęcą i ogrodową. Tymczasem tak nie jest. Tak nie jest, chociaż nawet niektóre wymienione poprzednio braki strukturalne, jak podział ziemi i przeludnienie, teoretycznie powinny w tym kierunku oddziaływać. Jednak stoją temu na przeszkodzie inne właściwości polskiego rolnictwa: brak kapitałów, pozostałości dawnego ustroju gospodarczego, ogólnie niski poziom kultury, a więc i oświaty. Polskie rolnictwo dzięki swym brakom strukturalnym nie czuje się na właściwem miejscu w strukturze rolnictwa światowego. I tu bodajże należy szukać przyczyn w trudnościach ustalenia linji naszej polityki gospodarczej w zakresie eksportu: zboża czy artykuły zwierzęce. Te dysonanse położenia geograficzno - gospodarczego Polski, ze strukturą jej rolnictwa, są brakiem bardzo poważnym w naszym ustroju gospodarczym i bodajże mało respektowanym przez naszą politykę gospodarczą, dostosowywaną do chwilowej konjunktury. 500 tys. tonn wywiezionego żyta i dalszy wzrost jego zasiewów na jesieni 1934 r., świadczy o pogłębianiu się wytkniętych braków i utwierdzaniu się ich w strukturze naszego rolnictwa; w tej perspektywie patrząc fragment ten świadczy o dalszem obniżaniu się kultury rolnej, wypompowywaniu kapitałów, obniżaniu stopy życiowej. Wzrost upraw ekstensywnych. przy równoczesnem zgęszczaniu się ludności rolniczej,—oto wskaźniki położenia wsi polskiej, świadczące najdobitniej o jej strukturalnych brakach.

TADEUSZ ŁYCHOWSKI

ZAGADNIENIE KONKURENCYJNOŚCI

W obliczu przemian walutowych w skali międzynarodowej zagadnienie konkurencyjności naszego wywozu powinno być wzięte pod specjalną uwagę i na podstawie wyciągniętych z badań tych wniosków należałoby wprowadzić więcej metody do zasad popierania wywozu.

Po roku względnego spokoju w sytuacji walutowej świata rozpoczyna się obecnie nowy okres zaburzeń. Trzeba sobie uprzytomnić, że od czasu ustabilizowania de facto dolara w końcu stycznia r. ub. nastąpiła w gruncie rzeczy (z wyjątkiem lekkiego obsunięcia się w r. ub. funta angielskiego i walut z nim zwązanych) faktyczna stabilizacja wszystkich czołowych walut świata. Stabilizacja ta, jeśli chodzi o dewizy anglosaskie dokonała się na poziomie faktycznej stabilizacji dolara t. j. nieco niżej niż o 40% wdół od dawnego parytetu tych walut. W najogólniejszym zatem skrócie sytuacja wyglądała w ten sposób, iż Stany Zjednoczone oraz Wielka Brytanja korzystały w ciągu 1934 roku z dobrodziejstw niższego kursu swych walut – w zakresie przedewszystkiem eksportowym, ale jednocześnie „wyścig walutowy" wdół jakgdyby się zatrzymał. Dla Stanów Zjednoczonych faktyczna stabilizacja waluty na poziomie 59.06% jej dawnej wartości przedstawiała tę dogodność, iż pozwalała na jednoczesne korzystanie z dewaluacyjnej premji wywozowej i z szerokiego kredytu na rynku wewnętrznym, co niemożliwe by było. gdyby dolar w dalszym ciągu obsuwał się wdół. Wielka Brytanja po roku wyraźnej „prosperity" (w 1933 roku) miała nadzieję, iż dalszy rok będzie dla jej gospodarstwa narodowego jeszcze korzystniejszy— bez nowych manipulacyj pieniądzem. Krótko mówiąc, chodziło wówczas o wyciągnięcie możliwie wiele korzyści z tej dewaluacji, która *już się dokonała*, a bez angażowania się głębiej w nowe eksperymenty monetarne.

W stosunku do krajów, które pozostały przy walucie złotej, tego rodzaju sytuacja była równoznaczna z walką „na przetrzymanie". Jest zupełnie jasnem, iż wszelki wzrost ekspansji gospodar-

czej na rynkach światowych, dokonywany przez premję dewaluacyjną ze strony krajów anglosaskich, pozbawiał temsamem „kraje złote“ cząstki ich własnej ekspansji na tych rynkach. Mogły one, oczywista, starać się o wyrównanie szans konkurencyjnych przez odpowiednio ostro przeprowadzaną deflację, która w rezultacie końcowym przejawiłaby się w tak silnie zredukowanych kosztach własnych, aby mogły one wyrównać spadek waluty konkurencyjnego eksportu. Z wielu względów, o których już na tem miejscu nie będziemy mówili szerzej, tego rodzaju deflacja we wszystkich bez wyjątku *zachodnio - europejskich* krajach „złotych“ była niemożliwa. Dlatego też w ciągu 1934 r. obserwujemy we wszystkich krajach o walucie złotej (z wyjątkiem jednej jedynej Polski) *spadek* wywozu, dochodzący np. we Włoszech aż do 16% w stosunku do wartości z 1933 r.

W tych warunkach kraje „złote“ prowadziły politykę po linji możliwie najmniejszego oporu. Nie mogąc walczyć z konkurencją krajów o walutach zdewaluowanych na rynkach światowych, zamykały się coraz silniej przed przywozem obcym na własnych rynkach wewnętrznych. Ponieważ większość krajów tych posiadała bardzo wysoki poziom życiowy własnej ludności, tworzący zawsze poważny rynek wewnętrzny dla rodzimej produkcji, polityka taka na pewien okres czasu okazywała się skuteczna — zwłaszcza, iż, nie prowadząc ostrej deflacji, kraje te w miarę sił i możności ich rządów starały się przeprowadzać oderwane i dalej lub bliżej idące posunięcia deflacyjnego charakteru. Tam, gdzie zasoby były słabsze, rynek wewnętrzny mniej pojemny, gdzie istniał brak własnych surowców itd., polityka ta musiała już wcześniej zakończyć się niepowodzeniem (Włochy). Tam, gdzie zamknięcie się w granicach rynku wewnętrznego było zupełnie sprzeczne z podstawową strukturą gospodarstwa narodowego (Belgja), starano się o ożywienie stosunków wymiennych w obrębie krajów „złotych“ (próby reaktywowania Bloku Złotego na jesieni r. ub.), co jednak musiało się skończyć niepowodzeniem z uwagi właśnie, iż ewentualni partnerzy „Bloku“ nadawali się jaknajmniej do rozszerzania obrotów zagranicznych, dbając przedewszystkiem i na możliwie najkrótszą metę o własny rynek wewnętrzny.

Sprowadzało się więc to wszystko razem do zagadnienia: czy i jak długo *wytrzymają* poszczególne kraje „złote“ konkurencję eksportową krajów o walucie zdewaluowanej? W pytaniu tem, oczywiście, ukryty był termin owej próby sił, którym nie mogło być nic innego jak data powszechnej stabilizacji walut światowych. Tylko bowiem wówczas, gdyby funt i dolar zostały stabilizowane de iure t. j. z gwarancjami trwałości tego nowego ich poziomu, znalezionoby nową równowagę gospodarczą w krajach „złotych“. Ożywienie, jakie by niewątpliwie nastąpiło w handlu międzynarodowym, zliberalizowanie tej dziedziny gospodarki światowej, a przedewstkiem wznowienie międzynarodowego obiegu kapitałów — wszystko razem pozwoliłoby krajom „złotym“ na odnalezienie poziomu cen, odpowiadającego tej nowej równowadze pokryzysowej w sposób dość szybki. Rzecz jednak w tem, iż znana niechęć Wielkiej Brytanji do stabilizowania funta, niechęć, o którą rozbijają się dotychczas wszystkie „pobożne życzenia“ w sprawie międzynarodowej stabilizacji walut, wypływa widocznie zupełnie z chęci doprowadzenia walut złotych, a przedewszystkiem franka francuskiego, do *zmiany* jego obecnego parytetu. O ile wierzyć urzędowym enuncjacjom z Londynu, sfery miarodajne uważają tam, iż obecny stosunek franka do dolara (jednego stabilizowanego de iure a drugiego — de facto) jest nieuzasadniony gospodarczo tak, iż gdyby funt miał być stabilizowany, groziłoby mu po raz drugi to, co stało się faktem w 1931 r., a więc w sześć lat po pierwszej powojennej stabilizacji funta, a mianowicie — ewentualna możliwość drugiej dewaluacji. Ile w tem twierdzeniu jest polityki a ile chęci wykorzystania przez czas możliwie długi doraźnych korzyści, jakie dla eksportu angielskiego daje dewaluacja funta, oczywiście niewiadomo. Pozostaje fakt, iż Londyn funta stabilizować nie chce, a przez to uniemożliwia powszechną stabilizację walut i wystawia kraje „złote“ zachodniej Europy na coraz to boleśniejsze próby wytrwałości.

Taką właśnie próbą było ostatnie załamanie się kursów funta w pierwszych dniach marca r. b., załamanie się, które pociągnęło za sobą porzucenie przez Belgję nielicznej już grupy państw „złotych“. Eksport belgijski „nie wytrzymał“ wzmożonej konkurencji eksportu angielskiego, którego ceny w złocie obniżyły się znów o jakieś 3%. Nie wchodzimy w tej chwili, czy Belgja ograniczy się do defensywnej ochrony kursu franka przez zahamowanie swobodnego działania u siebie waluty złotej ograniczeniami dewizowemi, czy też przejdzie do kontrofensywy dewaluując swoją własną walutę. W każdym razie ostatnie wydarzenia stwierdziły, iż słabsze ogniwa „Bloku Złotego“, wystawione bardziej na działanie obrotów międzynarodowych, pękają — i że nie jest wyłączone, iż za przykładem Belgji mogą pójść i inne zachodnio-europejskie kraje Bloku.

Problemat konkurencyjności naszego wywozu na rynkach międzynarodowych rozwiązywany jest u nas — w zgodzie z całością naszej ogólnej polityki gospodarczej — pomocą finansową dla wywozu tam, gdzie ceny zagraniczne spadły poniżej dopuszczalnego u nas jeszcze poziomu opłacalności danej produkcji. Utrzymując w zgodzie z założeniami naszej polityki ogólnej dodatni bilans handlowy, musimy starać się o możliwie wydatne eksportowanie — nawet w tych dziedzinach, gdzie sytuacja objektywna w zakresie cen wskazywałaby raczej na konieczność powstrzymania się od eksportu. Niema potrzeby, oczywiście, dodawać, jak błędne są twierdzenia (wysuwane nawet przez niektórych leaderów naszej opozycji w czasie ostatniej sesji sejmowej), łącząc fakt popierania naszego wywozu z realnością salda dodatniego w naszym bilansie handlowym. Jasne jest, iż dwa te fakty nie mają ze sobą nic wspólnego. Pomoc finansowa dla eksportu z ogólno gospodarczego pun-

ktu widzenia działa tak samo jak zniżka waluty przy pewnej zwyżce cen wewnętrznych. Daje ona premję eksportową osłabiając siłę nabywczą rynku wewnętrznego zarówno na import zagraniczny jak i na zbyt produkcji krajowej. Zarówno jednak przy zniżce waluty jak i przy forsowaniu wywozu cyfry salda bilansu handlowego są najzupełniej realne t. j. stanowią aktywną pozycję w bilansie płatniczym kraju, a o to przecież w rezultacie chodzi.

Zdając sobie jednak sprawę z powyżej wyłuszczonej prawdy, stwierdzić jednocześnie musimy, iż w miarę jak konkurencja krajów o zdeprecjonowanej walucie zwiększa się o dalszą deprecjację tej waluty, trudności eksportowe u nas odpowiednio rosną. Jesteśmy świadkami zjawiska wysoce skądinąd niepokojącego, iż wobec wzrostu cen wszystkich nieomal surowców światowych a przedłużającego się kryzysu w rolnictwie strefy umiarkowanej, przeciętne wartości jednostek towarowych w głównych pozycjach naszego przywozu rosną, wywozu zaś — nadal maleją. Weźmy najłatwiejszy stosunkowo przykład wywozu bekonów do Anglji (wywóz skierowany na obszar jednego tylko kraju). Przeciętna statystyczna cena kwintala eksportowanych bekonów wynosiła w 1933 r. ok. 165 zł.. w 1934 r. — ok. 154 zł. Różnica ta niewątpliwie nie została wywołana spadkiem cen w Anglji, gdyż ceny te są reglamentacją przywozową utrzymywane. Oddziałać tu musiało wahanie się funta. Gdybyśmy nawet wywieźli ilościowo bekonów w 1934 r. tyleż co w 1933 r., i tak uzyskalibyśmy za nie o ok. 4,5 milj. zł. mniej. Zakładając, iż w 1935 r. wywieziemy tyleż co w 1934 r. ostatnia zniżka funta da nam stratę dodatkową w wysokości ok. 1,3 — 1,4 milj. zł. A przecież mówimy o artykule, który bynajmniej nie stanowi u nas t. zw. deficytowego eksportu.

Wydaje się nam, iż kwestja konkurencyjności naszego wywozu zagranicznego traktowana była u nas dotąd nieco „po domowemu". Po domowemu dlatego, iż kryterjami, jakiemi kierowano się u nas w ocenie zjawisk i na których budowano decyzje, wypływały przedewstkiem z doraźnych *wewnętrznych* przesłanek t. j. z sytuacji faktycznej, jaka istniała w zakresie danej produkcji. Zamało, o ile się zdaje, uwzględniano czynniki zewnętrzne, wpływające na opłacalność takiego czy innego wywozu, a przedewszystkiem problem walutowy. Oczywiście — nie mamy i w dziesiątej części tak wielkiego zaangażowania się w handlu międzynarodowym, jakie ma np. Belgja, i dlatego wpływy fluktuacyj walutowych na konkurencyjności *całego* naszego wywozu są odpowiednio mniejsze. Niemniej jednak wpływy te są — i z ostatnich wydarzeń należy sądzić, iż mogą się one powiększyć. Nie może być dla nas bez znaczenia, iż, o ile by ostatnia zniżka funta nie wywołała żadnych zmian w poziomie cen na rynku brytyjskim (a to jest bardzo prawdopodobne, zważywszy, iż dotychczas poziom ten wykazuje znaczną odporność na fluktuacje walutowe), uzyskalibyśmy za nasz eksport do Anglji w rozmiarach r. ub. dokładnie o jakieś 6 milj. zł. mniej. Nie może być dla nas obojętne, iż „speranda" na zwyżce cen węgla na rynkach skandynawskich została tą samą zniżką funta i walut skandynawskich poważnie podważona. Przykładów takich możemy wymienić cały szereg.

Wydaje się nam zatem, iż w dalszem popieraniu naszego wywozu (co do celowości czego nie może być, w naszem pojęciu, nawet dwuch zdań) należałoby zacząć uwzględniać bardziej niż obecnie *ogólne* zagadnienie konkurencyjności wywozu krajów o walucie złotej. Należałoby przedewszystkiem zacząć liczyć się z tem, iż niepewność walutowa na świecie może się przedłużać, że rozpięcie pomiędzy walutami „złotemi" i poziomem głównych walut zdeprecjonowanych (zwłaszcza funta) może się powiększać, że zatem należałoby — może — ustalić pewne zasadnicze założenia w polityce popierania naszego wywozu, założenia, które bardziej liczyłyby się właśnie z sytuacją w poszczególnych krajach przeznaczenia naszego wywozu, a nie wychodziły całkowicie z najlepiej zresztą rozumianych ale niejednokrotnie, być może niezupełnie realnych przesłanek, budowanych na stwierdzaniu stanów faktycznych na poszczególnych odcinkach naszego własnego życia gospodarczego.

DOROCZNE WALNE ZGROMADZENIE
CZŁONKÓW „GOSPODARKI NARODOWEJ"

spółdzielni wydawniczej z ogr. odp.

odbędzie się w dniu 9 kwietnia 1935 r. o godz. 19-ej w lokalu dwutygodnika „Gospodarka Narodowa", Szpitalna 4 m. 18.

Porządek dzienny Zgromadzenia podany w Nr. 6-ym „Gospodarki Narodowej" z r.b.

UWAGI

SZEWCY

Ze wszystkich zawodów rzemieślniczych szewcy są najbardziej pokrzywdzeni. Przecież nawet wypominając chłopcu „dwóje" otrzymane w szkole, mówi się: „Nie będziesz się uczył — oddam cię do *szewca*". Nie do kogo innego, tylko do szewca.

A teraz kłopot z Bat'ą, krajowym przemysłem fabrycznym i chałupnictwem. Szewstwo ręczne się cofa. Jego sytuacja z każdym dniem się pogarsza. Co robić?

Samorząd rzemieślniczy uderzył na alarm. Było to jego obowiązkiem nietylko formalnym, lecz i merytorycznym, gdyż problem szewcki wymaga wielostronnego zbadania. W rezultacie Komisja Obuwiana przy Związku Izb Rzemieślniczych R. P. doszła do pewnych wniosków, którym dała wyraz m. in. w szeregu artykułów pomieszczonych w tygodniku „Rzemiosło". Do czasopisma tego nawiązujemy.

Produkcja obuwia w Polsce A. D. 1933 wynosiła w przybliżeniu 15 miljonów par, z czego rzemieślnicy wytworzyli 59%, fabryki 40%, a 1% przypada na import. Z tych 15.000.000 par zgórą 11.000.000 odnosi się do obuwia skórzanego, reszta zaś tworzy grupę t. zw. obuwia ludowego i sportowego, które sporządza się bez skóry. Wartość produkcji ręcznej szacuje się na 132,5 milj. zł., produkcji maszynowej — na 29,7 milj. zł. importu na 2,5 milj. zł.

Z powyższego wynika, że szewcy ręczni produkują obuwie skórzane, droższe od mechanicznego, które jest z reguły obuwiem lekkiem. Import jest de facto bez znaczenia, a jego dawne miejsce zajęła „Krajowa" fabryka Bat'y. Biorąc ilościowo 3/5, a wartościowo 4/5 produkcji obuwia znajduje się jeszcze w ręku tradycyjnej grupy, t. j. szewców ręcznych. Fakt ten jednak nie świadczy sam przez się o cofaniu się rzemiosła. Jaskrawość sytuacji polega raczej na tem, że ilości 1.900 robotników fabrycznych odpowiada ilość 175.000 rzemieślników, i chałupników, biorąc zaś pod uwagę, że produkcja 1 robotnika wynosi rocznie 3.140 par, gdy 1 rzemieślnika lub chałupnika tylko 51, stwierdzamy, iż 1 robotnik z fabryki obuwia odbiera chleb 60 rzemieślnikom lub chałupnikom.

Rozpatrując to zagadnienie na „zimno", należy podkreślić, że cofanie się rękodzieła przed maszyną wynika nietylko z naszej zbyt prymitywnej wiary w maszynę, lecz również ze stopnia zamożności a raczej niezamożności naszego społeczeństwa. Nasze społeczeństwo źle czyni, kupując tańszą tandetę fabryczną, ale na drogie buty ręczne nie posiada odpowiednich środków. Moda i sporty także swoje robią, a skutek jest ten, że produkcja taniego obuwia nieskórzanego (a „takowe" produkuja jedynie fabryki) wzrosła z 3,8 milj. par w 1933 r. na 5 milj. par w 1934 r.

Gdyby całość produkcji mechanicznej przeszła do rzemiosła, to przychód brutto tego ostatniego zamiast 132,5 milj. zł., a łącznie z naprawami — 232,5 milj. zł.,wzrósłby do 262;2 milj. zł.; czyli na 1 rzemieślnika przychód brutto wyniósłby 1.500 zł. rocznie zamiast 1.328 zł. (w/g obliczeń Komisji Obuwianej), po odjęciu zaś kosztów surowca (40%) dochód netto wyniósłby 900 zł. zamiast 800 zł. Dowodzi to że w dzisiejszej konjunkturze i przy tak szczupłym popycie (niespełna pół pary na 1 mieszkańca rocznie) rzemiosło nie może liczyć na jaskrawą poprawę swej sytuacji finansowej i to nawet w skrajnym wypadku całkowitego zakazu produkcji mechanicznej. Moment ten jest niedoceniany przez rzemiosło, które powołuje się raczej na zmianę mody i na przyzwyczajenie do obuwia gotowego, podczas gdy dzisiaj rzemieślnicy powszechnie pracują na skład, rzadko zaś na zamówienie, a mimo to mają b. szczupłe możliwości zbytu.

Mówiąc o produkcji mechanicznej obuwia, rzemieślnicy mają na myśli głównie Bat'ę, który produkuje dzisiaj w Chełmku pod Oświęcimem ca. 850.000 par obuwia skórzanego czyli 6% ogólnej a 39% mechanicznej wytwórczości tegoż obuwia. Ponadto Bat'a posiada pełną swobodę w produkcji obuwia ludowego, sportowego itp. i wykorzystuje ją w całości, dzięki czemu ilość jego sklepów i filij stale rośnie, dochodząc jakoby do 120 czyli 1% wszystkich punktów sprzedaży obuwia w Polsce.

Ale nie na tem polega silna, zanadto może silna przewaga fabrycznego przybysza nad tradycyjnem krajowem rękodziełem. Jej istota leży w sile finansowej zakładów w Zlinie, która umożliwia masową i bogatą pod względem asortymentu produkcję, tem samem tańszą i pokupniejszą. Znaczenie Bat'y na rynku polskim jest natury równie kalkulacyjnej, jak i psychologicznej., stanowi on bowiem dla drobnego wytwórcy czynnik potężny a nieobliczalny. Jego stały rozwój przy stabilizacji (w najlepszym razie) wytwórczości ręcznej zabija ducha odporności w rzemiośle.

Z krajowemi fabrykami i kupcami obuwia rzemiosło ma również „na pieńku", chociaż to nie są specjalnie groźni współzawodnicy. Rzecz cała w tem, że i fabryki i kupcy mają łatwiejszy niż rzemiosło, dostęp do odbiorcy zorganizowanego, zwłaszcza wojska, zabierając rękodziełu jakgdyby „śmietankę" wytwórczości i zbytu. Kupiectwo jest natomiast groźne jeszcze z tego powodu, że opiera się na chałupnictwie, chociaż — Bogiem a prawdą — to i samo rzemiosło szewskie nie gardzi pomocą ze strony chałupnictwa, o ścisłej granicy pomiędzy rzemieślnikiem a chałupnikiem nie da się w szewstwie przeprowadzić.

W jakim kierunku idzie atak (ew. obrona) rzemiosła szewckiego? — Komisja Obuwiana wysuwa nast. postulaty: 1) zakazu otwierania nowych fabryk i sklepów handlu obuwiem oraz powiększania fabryk istniejących; 2) zakazu importu obuwia; 3) uznania czynności naprawy obuwia za integralną część rzemiosła szewckiego i tem

samem wydania zakazu naprawy obuwia sposobem fabrycznym; 4) uznania chałupnictwa szewckiego za rzemiosło; 5) utrudnienia dopływu uczniów w rzemiośle szewckiem; 6) redukcji t. zw. dyspens na prowadzenie szewctwa; 7) stworzenia gospodarczych związków celowych; wyeliminowania nakładców, przejścia w rzemiośle do systemu produkcji na skład. 8) zwiększenia uwagi na rzemiosło szewckie ze strony instytucyj publicznych, zwłaszcza wojska.

Powiedzmy sobie odrazu, że tylko dwa ostatnie postulaty są realnie i trafnie ujęte. Zakaz importu jest żądaniem nieistotnem, bo import gra dzisiaj rolę minimalną. Redukcję dyspens czyli zaostrzenie wymagań przy egzaminach wykonają w miarę możności izby rzemieślnicze. Gorzej natomiast przedstawiają się szanse punktu 1-go. Aby go zrealizować, trzeba znowelizować w duchu radykalnym, wręcz reglamentacyjnym. ustawę przemysłową lub też uznać fabryki obuwia za przemysł koncesjonowany. Dzisiejszy stan prawa przemysłowego uniemożliwi również wydanie zakazu naprawy obuwia systemem mechanicznym. Co gorsza — znowelizowane rok temu prawo przemysłowe zezwala na prowadzenie rzemiosła systemem fabrycznym nawet osobom prawnym, byleby w skład zarządu tychże wchodziło conajmniej 2 samoistnych rzemieślników. A czyż o to w Polsce trudno?—

Przeciwko uznaniu chałupnictwa za rzemiosło przemawia zasadnicza różnica pomiędzy temi dwoma pojęciami: pierwsze opiera się na umowie o pracę, stwierdza fakt zależności wytwórcy od nakładcy i wyklucza posługiwanie się pracownikami najemnymi, gdy główną cechą rzemiosła jest samoistność, korzystanie z pracy uczniów i czeladników etc. Usunięcie „sweating system'u" nie nastąpi skutkiem zmiany nazwy: trzeba znieść socjalno-gospodarcze przyczyny zjawiska, które nie wzbudza niczyjej sympatji, ale wydaje się — wraz z wiejskim przemysłem domowym — typowem złem koniecznem.

Za utrudnieniem dopływu uczniów do rzemiosła szewskiego wypowiadają się tylko niektórzy przedstawiciele tego rzemiosła. Inni natomiast dowodzą wręcz, że raczej jest brak uczniów i że szewctwu może grozić niebezpieczeństwo braku sił wykwalifikowanych. Stąd nie można zgodzić się na taki stosunek uczniów do czeladników, jaki proponuje Komisja Obuwiana (1:10), gdyż korzyści, jakie uzyskałoby rzemiosło z zatamowania dopływu nowych sił, mogłyby nie zrównoważyć minusów tej akcji (uczniowie są niewątpliwie tańsi od pomocników czeladników i t. p.). Trudno pozatem przypuścić, aby nadmiar młodzieży wiejskiej nie przesączał się do szewctwa drogą nielegalną, coby wszelkie zakazy czyniło iluzorycznemi.

A mimo to jest rzeczą całkowicie słuszną, aby w imię *ewolucyjnego* rozwiązania sprawy szewckiej z punktu widzenia *socjalno-politycznego* nie dopuszczono do nadmiernego i szybkiego rozrostu fabryk obuwia. Jak się zdaje, niektóre krajowe fabryki doceniają ten moment, obcy najzupełniej mentalności i — co ważniejsza — interesom kapitału zagranicznego. Chodzi więc poprostu o rozumny kompromis fabryki z rzemiosłem, biorący pod uwagę stopniową, niejako naturalną ewolucję i selekcję. Po co przyśpieszać pierwszą, a manierować drugą? Przy tak daleko, jak u nas, posuniętej reglamentacji, przy tak, jak nasza, skonstruowanej taryfie celnej (nie o nią chodzi, lecz o jej skutki) — *regulowanie tempa* przechodzenia z obuwia ręcznego na obuwie mechaniczne nie powinno być chyba ani wyjątkiem, ani rewelacją.

j. gozd.

PAMIĘTNIKI CHŁOPÓW

W tym samym czasie, kiedy Instytut Gospodarstwa Społecznego publikował w prasie odezwę w sprawie konkursu na pamiętnik chłopa, ściśle w tym samym czasie na łamach Gospodarki Narodowej drukowany był artykulik pt. „Nieznany chłop"*). Artykuł ten pisany był przypadkowo przezemnie. Przypadkowo, gdyż w mem najgłębszem przekonaniu mógł być równie dobrze napisany przez każdego innego publicystę ekonomicznego, któryby zechciał poddać kontroli swoją znajomość rzeczywistości wiejskiej. Otóż w tym samym czasie, kiedy artykuł „Nieznany chłop" ograniczał się do zakwestjonowania wiedzy o wsi w środowisku ekonomistów i wogóle inteligentów miejskich, Instytut Gospodarstwa Społecznego był już nie o krok, lecz o parę kilometrów dalej: rozpoczęte były przygotowania do fundamentalnego wydawnictwa, które przed kilkoma dniami ujrzało światło dzienne.

Wspomniany artykuł kończył się słowami: „Nie można budować na niewiadomem. W kraju, posiadającym 70% ludności rolniczej, znamy, mniej więcej, dokładnie, najwyżej 30%. O reszcie — o tych 70% — wiemy tylko tyle, ile zawiera w sobie podejrzana o fikcyjność, konwencjonalna sylwetka chłopa". Po upływie dwu lat skłonny byłbym zgodzić się na wprowadzenie pewnych poprawek do powyższego zdania, przyznać, że może grzeszy ono nieścisłościami. Przesady jednak nie upatruję w tem, co powiedziałem o nieznajomości wsi, lecz raczej w tem, co dotyczy rzekomej znajomości miasta, a bardziej jeszcze małego miasteczka. Odnośnie spraw wiejskich sądzę, że doprawdy niema ani słowa przesady w pesymistycznym, zacytowanym wyżej sądzie. Nawet w dziedzinie najłatwiej uchwytnych zjawisk, zjawisk dających się mierzyć i ujmować statystycznie, mamy materjał szczupły i problematycznej wartości. Ostatnie lata przyniosły między innymi krytyczną analizę statystyki rolnej GUS. Po za tą statystyką mamy jeszcze badania wydziału ekonomiki drobnych gospodarstw oparte o rachunkowość kilkuset zaledwie warsztatów rolnych, z tem, iż sam wydział podkreśla niereprezentatywność ankietowej grupy warsztatów. A te dane, to jeszcze to, co mamy najcenniejszego, najściślejszego i najobfitszego. O imponderabiljach wiejskich, o zjawiskach, czy to gospodarczych, czy psychologicznych, nie dających się uchwycić w szeregi statystyczne, czy też popro-

*) Gosp. Nar. Nr. 19 1935.

stu nieobejmowanych analizą statystyczną, wiemy na tyle mało, że nawet publikacje powieściowe (Jalu Kurek) stają się dla społeczeństwa nietylc wydarzeniami w ruchu literackim, co dokumentami rzeczywistości społecznej.

Nie chcę bynajmniej umniejszać wagi poprzedniego bezcennego i tragicznego wydawnictwa Instytutu — Pamiętników Bezrobotnych. Wydaje mi się jednak, że nowe wydawnictwo posiada doniosłość większą jeszcze, aniżeli poprzednie, o którem przecież Gospodarka pisała, że „pamiętniki bezrobotnych mogą się stać czemś więcej, niż przy czynkiem, że staną się materjałem, dla budowania „programu na dziś i na jutro", opartego o znajomość prawdziwej, a nie umownej rzeczywistości". Mur różnic klasowych, dystans pomiędzy inteligencją a robotnikiem, przełamywany jest bądź co bądź w stosunkach miejskich nie przez jednostki. lecz przez całe odłamy. Dzisiejszy bezrobotny, to wczorajszy, a miejmy nadzieję, i jutrzejszy robotnik. Nici łączące życie bezrobotnego z ruchem intelektualnym, ze świadomością społeczną. są liczne. Wystarczy tu chcieć wiedzieć, aby wiedzieć. Oczywiście, tem niemniej wydawnictwo pamiętników bezrobotnych było doniosłym czynem w kierunku krystalizowania wizji rzeczywistości kryzysowej. Pamiętniki chłopów jednakowoż są jeszcze czemś ponadto.

Wieś nie ma swojej reprezentacji intelektualnej. Jeśli pominiemy jednostki, chłopa nie reprezentuje w świadomości społecznej nikt. Nie reprezentują go ci, którzy mechanicznie stoją najbliżej — ziemianie. Nie reprezentują, poza odcinkiem interesów *wspólnych.* Nie reprezentują działacze chłopscy, gdyż ci nie mają kontaktu z ruchem intelektualnym i ze środowiskami miejskiemi. Nie reprezentują inteligenci, pochodzący z chłopów, gdyż przeważnie asymilują się z nowem środowiskiem. zatracając realny kontakt z masą, z której wyszli. W pamiętnikach chłopów, wydanych przez Instytut Gospodarstwa Społecznego „Wielki Niemowa" wiejski przemówił we własnem imieniu — bodajże po raz pierwszy w podobny sposób.

To pierwsze i jedyne w swoim rodzaju wydawnictwo zawiera na przeszło 700 stronach ponad 50 pamiętników. Pomimo wszelkich różnic regjonalnych i indywidualnych pamiętnikarzy, pomimo tego. że jak wskazuje analiza, dokonana przez wydawców. i jak zresztą należało zgóry przypuszczać, pamiętnikarze należą do indywidualności najsilniejszych, przy czytaniu pamiętników z każdą stronicą czuje się coraz bardziej wyraźnie, że zawarte w nich opisy nie dotyczą w gruncie rzeczy losów jednostek. że w każdej chwili zamiast poszczególnego pamiętnikarza możnaby było podstawić wielotysięczną masę. Nic dziwnego. Warunki przyrodnicze, geograficzne i klimatyczne, struktura, agrarna, zależność wsi od silniejszych i sprawniejszych ogniw gospodarki, jak aparat kredytowy i handlowy, sprawiają, że poza nielicznemi jednostkami. o wyraźnie nadprzeciętnej inicjatywie i ruchliwości, reszta pamiętnikarzy — chłopów jest w dużo większym stopniu aktorem nie przez nich układanego dramatu życiowego. niż aktywnym autorem losów własnego życia. Tem bardziej też pamiętniki chłopów mogłyby sobie rościć prawo do tytułu „pamiętnika chłopa", pamiętników klasy, a nie tylko jednostek. Przytem — trochę wbrew zdaniu wydawców, którzy w słowie wstępnem piszą, iż książce należałoby właściwie nadać tytuł „pamiętniki chłopów w okresie kryzysu" — pamiętników, o trwałej, a nietylko kryzysowej aktualności. Pomimo centralnej roli, jaką odgrywa opis kryzysowej niedoli chłopa, pamiętnikarze, a przynajmniej wielu z nich, potrafiło w sposób jaskrawy i dosadny, choć mimowolny, uwypuklić, że sprawa wiejska w Polsce nie kończy się na zagadnieniach konjunkturalnych, że kryzys jest tylko dotkliwem zwiększeniem ciężarów trwałych, *strukturalnych* bolączek wsi.

Będę śmielszy od mego kolegi redakcyjnego, który pisząc przed laty o pamiętnikach bezrobotnych. wyraził nadzieję, że zostaną one wykorzystane jako materjał dla budowania programu. Zarówno polityka gospodarcza na krótką metę, jak i budowa długofalowego programu, nie mogą przejść obok tego wiernego i wymownego echa rzeczywistości, jaką są pamiętniki chłopów. Do materjału, zawartego w pamiętnikach. który jest niczem innem, jak skrótem rzeczywistej rzeczywistości, świadomość społeczna i polityka gospodarcza ustosunkować się muszą. Chyba, że się chce zamknąć oczy na rzeczywistość. *Czesław Bobrowski.*

KONSERWATYZM NA MANOWCACH

Nie będąc socjalistą można życzyć polskiemu socjalizmowi odświeżenia hasełek. które przed pół wiekiem były naprawdę hasłami. Podobnie, nie będąc konserwatystą, życzę polskiemu konserwatyzmowi, by potrafił odegrać rolę, która mu normalnie przypada, rolę czynnika rozwagi, chłodnego krytycyzmu i realizmu, choćby zbyt ciasno ujętego. Można mu także życzyć, jak każdej innej grupie, bo swoje dobre prawo a zarazem obowiązek — obronę interesów grupy, na której się opiera—prowadził zdecydowanie i nie pod kątem widzenia wyłącznie dnia dzisiejszego. Trudno nie przyznać, że np. przedwojenny konserwatyzm krakowski potrafił te zadania łączyć z wysokim poziomem umysłowym i kulturalnym, dzięki czemu ma pozycje dodatnie w trwałym dorobku duchowym swego pokolenia.

Nie zamierzając podejmować szerszej analizy dzisiejszego naszego konserwatyzmu, chcę zaznaczyć parę refleksyj, które się nasuwają obserwatorowi.

Pierwszą walną próbą dla powojennego konserwatyzmu była walka o reformę rolną. Próba wypadła żałośnie. Nie dlatego, że zwycięstwo odniosły czynniki radykalne, bo nie mogło być inaczej, ale dlatego, że ziemiaństwo i jego organizacje odrazu zajęły stanowisko, które je wyłączyło poza nawias dyskusji. Zabrakło realizmu, który powinien stanowić główny atut kierunku zachowawczego.

Dalsze zadania postawiła przed naszym konserwatyzmem kartelizacja przemysłu. Powstała jaskrawa sprzeczność między interesem całego rol-

nictwa, także wielkiego, i wielkich nowotworów przemysłowych. Sprzeczność nie dająca się wyrównać przez zainteresowanie grupy ziemian w wielkim przemyśle. Solidarność t. zw. „sfer gospodarczych“ stała się fikcją, gdy chodzi o treść. Możliwe i logiczne były dwie drogi: oparcie się na samych „torysach“ i zbliżonej do nich grupie inteligencji, albo przynajmniej wewnętrzny podział na zachowawców przemysłowych i rolniczych, dający tym ostatnim możność obrony swego udziału w dochodzie społecznym, przy wspólnem stanowisku wobec spraw, gdzie interesy są naprawdę wspólne.

Nasz konserwatyzm wybrał trzecią drogę, drogę zamknięcia oczu na rosnące zagrożenie interesów grupy, stanowiącej właściwą jego podstawę. Wielki przemysł okazał się tu znakomitym taktykiem. Potrafił zapewnić całej produkcji kartelowej prohibicyjną ochronę celną, w kraju rolniczym i przy współdziałaniu przedstawicieli tych, na których spada ciężar tej ochrony. Ani organizacje rolnicze, dopóki pozostawały pod przemożnym wpływem konserwatywnego ziemiaństwa, ani organizacje samego ziemiaństwa, ani polityczne ugrupowania zachowawcze, nie zdobyły się w tej sprawie na jasne i niedwuznaczne stanowisko, bez czego nie mogło być mowy o skutecznej akcji. Drukowało się w „Czasie“ piękne artykuły prof. Krzyżanowskiego, wzdychało się niekiedy pod adresem karteli, by zechciały „w zrozumieniu trudnego położenia rolnictwa“ obniżyć ceny na parę artykułów. posuwano się aż do przyznawania, że jeżeli życie przemysłowe okazałoby jakieś nadmierne „wybujałości“, to te „wybujałości“ należy przyciąć. Nawiasem mówiąc, równie „daleko“ posuwały się enuncjacje przedstawicieli Lewjatana. Ogólny tenor najbardziej miarodajnych oświadczeń polskiego konserwatyzmu brzmi: wara od karteli! kartele są tem, co właśnie zachowujemy, konserwujemy, gdzie jeszcze jesteśmy mocni.

Można i tak. Można powiedzieć, że „obóz zachowawczy“ opiera się na wielkim przemyśle, wraz z zainteresowaną w nim małą grupką ziemian. Trzeba tylko to powiedzieć wyraźnie i po tej znowu linji iść logicznie, nie deklamować o zagrożonych przez politykę rządową większych warsztatach rolnych, bo te ostatnie *są w daleko wyższym stopniu zagrożone wskutek rozkwitu karteli na grzędzie solidarnego konserwatyzmu.*

Ostatnio byliśmy świadkami interesującego ataku konserwatyzmu na polską politykę rolniczą. Tu przynajmniej, zdawałoby się, sądząc z niebywałej na łamach „Czasu“ formy, zachowawcy są zdecydowani. wiedzą czego chcą. Pozory, tylko pozory. Sądze, że p. Bobrowski, pisząc o tem samem wystąpieniu „Czasu“ w poprzednim numerze „Gospodarki“ bardzo pochlebnie dla organu zachowawczego ujął położenie, sugerując intencję mądrej obrony stanu posiadania ziemian.

Artykuł redakcyjny „Czasu“ w n-rze 65 z dn. 7 marca, poza szeregiem insynuacyj, zajmuje się stanowiskiem rządu w dwóch zagadnieniach polityki gospodarczej: parcelacji i cen ziemi. Jeżeli polityka rządu w tych sprawach jest zła lub wadliwa, w takim razie chyba najskuteczniejszym sposobem jej poprawy byłoby zaproponowanie lepszej. Taką właśnie metodę zastosowaliśmy w „Gospodarce“, gdzie p. Bobrowski i niżej podpisany, uważając za wadę jesiennej serji dekretów finansowych niedość ścisłe związanie akcji oddłużeniowej z reformą ustroju rolnego, żądaliśmy większych wysiłków dla ułatwienia parcelacji, np. umożliwienia parcelacji w trybie, przewidzianym w art. 86 dekretu o konwersji, także i bez potrzeby uciekania się do postępowania układowego. Sądzę, że byłem w tym wypadku daleko bardziej pro-ziemiański od pp. konserwatystów z „Czasu“, bo umożliwienie parcelacji jest jedyną dziś realną drogą uratowania dużej liczby większych warsztatów rolnych.

Publicysta „Czasu“ raczył się ograniczyć do oryginalnej sugestji, że przebudowa ustroju rolnego nie powinna być posunięciem gospodarczem, oraz do wyliczenia „warunków“, przy których parcelacja może być pożądana. Stwierdza brak tych warunków, ale nie mówi, co wobec tego stanu rzeczy należy przedsięwziąć w stosunku do warsztatów, których dochody nie wystarczają na obsługę długów. Sądzę, że *konieczność* jest także warunkiem. który warto brać pod uwagę. Dlatego dziwny jest ten opiekun ziemian, który ogranicza się do negacji jedynego lekarstwa, wprawdzie niesmacznego, któreby mogło wielu z nich postawić na nogi.

Drugie zagadnienie, to ceny ziemi. „Czas“ jest niezadowolony (wraz z p. referentem gen. budżetu w Senacie) z oficjalnego stwierdzenia, że ceny te są elastyczne, obniżają się podczas przesilenia i że jest to proces pożądany. Znowu warto zapytać: a jakiż realny postulat Panowie proponujecie? Utrzymanie niezmienionych cen ziemi? — Spróbujcie. Utrzymanie niezmienionych szacunków z lat dawniejszych? — To przecież fikcja, uprzywilejowująca niektórych (bo nie wszyscy mają te przedkryzysowe szacunki), która nie zabezpieczyłaby interesów wierzycieli, ani nie uratowała dłużników. Bez obniżenia się cen ziemi, które nastąpiło, odtworzenie popytu na nią byłoby nie do pomyślenia. Dalsze obniżanie nie jest ani potrzebne, ani też nie było przez rząd propagowane, natomiast wynikłoby niewątpliwie z zalecanej przez „Czas“ polityki anty-parcelacyjnej. Tylko ułatwienie parcelacji może zatrzymać dalszy spadek cen ziemi. I tu, jak wszędzie, nasz konserwatyzm okazuje się najbardziej radykalny, jest najgroźniejszym kierunkiem dla tych, których podobno broni.

Może niesłuszne jest sądzenie całego odłamu myśli politycznej według artykułu dziennikarskiego. To trudno. Po to grupa wydaje swój organ, by organ ją reprezentował. Co może lepiej reprezentować kierunek niż redakcyjny artykuł na czele numeru głównego organu? Zdarzają się i na takiem miejscu nieporozumienia, ale w takim razie następują sprostowania. Zwłaszcza, że artykuł był dość głośny i musiał zwracać uwagę choćby przez swą niepowszednią formę. Rzecz dziwna, jak te rzeczy się łącza: za lepszych czasów konserwatyzmu nigdy chyba, wśród zarzutów, stawianych „Czasowi“ nie trzeba było wspominać o nieprzyzwoitej formie.

Józef Poniatowski.

CZESŁAW BOBROWSKI

POLEMIKA NA TRZY FRONTY

Kropki w złem miejscu.

P. Tadeusz Łychowski uznał za konieczne postawić w ostatnim numerze „Gospodarki Narodowej“ kilka kropek nad i* „I“ to w danym wypadku manifestujące się od niejakiego czasu dążenie do zmiany kursu naszej polityki gospodarczej. Rolę kropek odegrało rozważenie czterech (a ściślej biorąc trzech tylko) ewentualnych dróg tej polityki.

Punktem wyjścia artykułu jest scharakteryzowanie wspomnianego wyżej fermentu myślowego. rozpowszechniającego się ostatnio w społeczeństwie. Za cechy charakterystyczne tego fermentu p. T. Ł. uznał: 1) pochodzenie „od dołu“ do „szarych ludzi“, a nie od ekonomistów ex cathaedra, 2) brak konstruktywnego programu i przewagę momentów negacji w stosunku do programu obecnego, 3) podłoże nietylko już w „złych interesach“ producentów, ale w głębszych i szerszych społecznie przyczynach, w nędzy mas. W tem świetle autor uważa, iż nie mamy do czynienia z jakimś nowym programem gospodarczym, lecz z bliżej nieokreślonym odruchem protestu przeciw ciężarom codziennego życia obecnego. Z odruchami takiemi autor każe się liczyć, oczywiście o tyle, o ile można im w jakikolwiek sposób zadośćuczynić. Końcowa część artykułu poświęcona jest uzasadnianiu tezy. że właśnie zadośćuczynić tym tendencjom czy odruchom nie można. że trzeba pozostać przy polityce deflacyjnej, gdyż każda z innych rozpatrzonych możliwości pociąga za sobą groźne konsekwencje.

Przedewszystkiem „szary człowiek“ nakręcania konjunktury czy dewaluacji jako środka walki z kryzysem nie wymyślił — wymyślono je ex cathaedra, tak samo, jak i deflację. Stamtad. z katedry, przejął je dajmy na to Lewjatan który bardzo wyraźnie stoi dziś na gruncie nakręcania konjunktury, przejęli publicyści ekonomiczni, przejęła ulica.

Po drugie, abstrahując od słuszności, czy niesłuszności tych koncepcyj. są one programem równie zawartym i określonym. jak dajmy na to program deflacyjny. Opracowano je teoretycznie, robiono w praktyce. Rzecz inna. że wielu wyznawców - laików ekonomji, nie bardzo umie się wyjęzyczyć. ale w odwodzie mają oni swoich „profesorów“. Pozorna przewaga momentów negatywnych powstała poprostu stąd. że zawsze wygodniej jest krytykować cudzą tezę. niż bronić własnej. Tak też zrobił p. T. Ł. w końcowym ustępie swego artykułu. Słowem. mamy do czynienia z kilkoma najzupełniej równorzędnemi prądami myślowemi. Cała różnica polega na tem. że deflacja jest naszym programem oficjalnym i tem samem zwolennicy jej wypowiadają się z niepomiernie większą swobodą i zdecydowaniem.

Zgadzam się natomiast w zupełności z twierdzeniem, że istotnem podłożem szerzenia się fermentu myślowego jest ciężkie położenie mas. Troszeczkę gra tu rolę stan psychiczny, który najlepiej określić można ukraińskiem przysłowiem „nechaj hirsze, aby insze“, troszeczkę wiadomości o dymiących kominach w krajach prowadzących „są ójczą politykę gospodarczą“ ożywiania produkcji, a najwięcej prosta i łatwa obserwacja rzeczywistości deflacyjnej.

Co z tego wynika? Pan T. Ł. rzekomym „ślepym“ dążeniom mas, wynikającym z ich niedoli, przeciwstawił niemożność zaspokojenia tych dążeń przez rozumną politykę gospodarczą. Otóż pomijając tę ostatnią kwestję, do której jeszcze powrócę, mamy do czynienia nie ze ślepemi dążeniami mas, lecz z zupełenie normalną i zwyczajną walką kilku koncepcyj ekonomicznych. przyczem masy społeczne poczynają się ku jednej z nich przychylać. Ta koncepcja, która obowiązuje. jako program gospodarczy w tej chwili, to zn. deflacja, jest w tym samym stopniu, co wszelkie inne, produktem myślenia racjonalnego i nacisku pewnych interesów pewnych grup społecznych. Nikt chyba myślący socjologicznie nie zechce negować roli, jaką w formowaniu się programu deflacyjnego odgrywają we wszystkich krajach grupy. które na wzroście siły nabywczej pieniądza zyskują.

Poco przez rutynowanego, a więc świadomego *poco coś pisze*, publicystę. zostało stworzone przeciwstawienie „racjonalnej deflacji“ i irracjonalnych fermentów? Najprościej byłoby zwrócić się do autora z zapytaniem. Obawiam się jednak. że odpowiedź. przy całej szczerości. nie mogłaby być trafna. gdyż źródła takiego stawiania sprawy, jakie widzimy w artykule p. T. Ł. leża właśnie... w sferze irracjonalnej. Doszukuję się ich przedewszystkiem w mimowolnej chęci usprawiedliwienia się ze strony autora, iż wogóle porusza i omawia tendencje, które znaczny odłam publicystyki polskiej zgóry a limine sprowadza do absurdu. Druga część motywów jest. jak mi sie wydaje. rezultatem rozpowszechnionej niesłychanie w naszem myśleniu swoistej demagogji gospodarczej. Demagogji. która wyraża się w zakładaniu. iż to. za czem przemawiają momenty społeczne. to. czego pragna masy. musi być *gospodarczo nieuzasadnione*. Z tej przyczyny. jak sadze. p. T. Ł. uważał za potrzebne podkreślić taka zdawałoby sie oczywistość. iż polityka gospodarcza uwzgledniać powinna tendencje. rodzace sie na podłożu cieżkiego położenia mas. a więc koniec końców właśnie owo ciężkie położenie.

W jaki sposób p. T. Ł. uzasadnia niemożliwość zmiany kursu? Bardzo poprostu. Ustala cztery ewentualne drogi: deflację. inflacje kredytową, zawieszenie transferu i ograniczenia dewizowe. oraz

*) Konieczne kropki nad i. T. Łychowski. „Gospodarka Narodowa“ Nr. 6. 1935.

dewaluację złotego. Poddając analizie trzy ostatnie, a nie omawiając skutków deflacji, wykazuje ich ujemne strony, i wobec tego deflację wybiera. Tą samą metodą można dojść do czterech różnych wniosków. Wystarczy zpośród czterech ewentualności wybrać za każdym razem trzy inne, zanalizować je z ujemną oceną (co nie jest trudne, gdyż każda z dróg, po jakich może kroczyć polityka gospodarcza, zawsze ma swoje złe strony), i dojść do wniosku, że najlepsza jest ewentualność czwarta, o której się nie mówiło. Gdyby metodę p. T. Ł. zastosować do wszystkich ewentualności — a więc do przytoczonych przez niego ujemnych objawów inflacji, ograniczeń dewizowych, itd. dodać wyliczenie ujemnych stron polityki deflacyjnej — biedny czytelnik doszedłby do wniosku, że wogóle wyjścia niema. Możnaby przytem zupełnie bez złośliwości pokusić się o dowiedzenie, że właśnie polityka deflacyjna prowadzi do tych rzeczy, które zdaniem p. T. Ł. powinny nas wstrzymywać od wchodzenia na inne drogi. I tak np. możnaby dowodzić, że podobnie jak inflacja kredytowa zdaniem p. T. Ł. prowadzi do bankructwa na zewnątrz, deflacja musi prowadzić do bankructwa — na wewnątrz. Możnaby dowodzić, (i to bez trudu), że nietylko inflacja, ale i deflacja prowadzi do drakońskich ograniczeń przywozu. Możnaby nawet uzasadniać pogląd, że dla kredytu zagranicznego i sytuacji międzynarodowej taki poziom wskaźników wytwórczości, jaki jest nieuchronnie związany z polityką deflacyjną, może być bardziej jeszcze szkodliwy od zawieszenia transferu. Można wreszcie bronić poglądu że podobnie jak dewaluacja, deflacja nie pozwala na osiągnięcie wytkniętych dla niej celów.

Skoro możliwa jest tego rodzaju dyskusja, musi w samem postawieniu problemu tkwić jakiś błąd założenia. Istotnie błąd taki istnieje. Pan T. Ł. w końcowym ustępie swego artykułu pisze „niema cudów“ i akcentuje konieczność wyboru pomiędzy istniejącemi alternatywami, wyboru z całą świadomością tego do czego te alternatywy prowadzą. Otóż jeżeli się chce dokonać wyboru pomiędzy wszystkiemi ewentualnemi drogami naszej polityki gospodarczej, nie można zatrzymać się na tym etapie analizy, do którego doszedł p. T. Ł., lecz trzeba pójść o krok dalej. Mamy kryzys. Stąd wynika nawet dla laika, że nie wszystko może być dobrze. Trzeba wybrać. Trzeba ustalić, co na rzecz czego poświęcić. Trzeba zestawić myślowo bilans ciężarów i korzyści, określić, które korzyści mają walor realny, a które stały się już tylko pustem słowem, trzeba określić które ciężary są istotnie dotkliwe, a które są jedynie straszakiem. Trzeba ustalić, czy korzyści, po które sięgamy, są możliwe przy ponoszeniu danych ciężarów. Przykładowo. Czy można mówić o uzdrowieniu struktury gospodarczej, o likwidowaniu przerostów na drodze deflacji, z chwilą, kiedy kilka lat kryzysu wykazało, że dużo skuteczniej dają się zlikwidować młode, zdrowe pędy życia gospodarczego, aniżeli niektóre zastarzałe i dobrze okryte grubą korą przywileju kartelowego przerosty? Czy można wytaczać w obronie deflacji argumenty z płaszczyzny kapitalizacji wewnętrznej, i kredytu zagranicznego, skoro istnieją poważne podstawy do przypuszczeń, że polityka deflacyjna (powiedzmy narazie „nawet polityka deflacyjna“) nie gwarantuje tu sukcesów. Pan T. Ł. zachowuje te postulaty, w imię których wkroczyliśmy na drogę polityki deflacyjnej, (rzecz inna, że nie zawsze osiągając ich realizację) i domaga się od innych kierunków polityki gospodarczej, aby spełniały te same właśnie postulaty. To oczywiście jest niemożliwe. I dlatego trzeba sięgnąć aż do oceny — rewizji czy podtrzymania — zespołu postulatów, którym ma służyć nasza polityka gospodarcza. Nie można budować piramidy hierarchicznych celów, zaczynając odrazu od pierwszego piętra. A raczej owszem, można to zrobić, tylko, że wtedy kropki nie będą nad i, lecz w jakiemś zupełnie innem i niewłaściwem miejscu.

Bochenek, kosze i brzuchy.

W dwóch kolejnych artykułach p. Stefan Meyer podjął wymowną i efektowną obronę postulatu obniżenia ciężarów publicznych, dostosowania ich do możliwości gospodarczych*). Z tą podstawową tezą połączył p. Meyer cały szereg wywodów, ubocznych w tym sensie, że nie stanowiących rdzenia danego artykułu, ale niezmiernie istotnych skądinąd. Utrudnia to niezmiernie dyskusję z autorem. Zgadzam się np. całkowicie ze zdaniem, iż obniżenie ciężarów publicznych jest koniecznością zupełnie pierwszego rzędu. Natomiast nie zgadzam się z takiem postawieniem sprawy, jakie znajduję w artykule p. Meyera, który mówi, iż sztuka budżetowania w Polsce, to zwalenie na barki indywidualne tych potrzeb publicznych, które nie mógą być normowane przez Państwo. A raczej — możebym się z tem i zgodził, gdyby było wyraźniej widoczne, co autor chciałby na te indywidualne barki zwalać. Bezwarunkowo zgadzam się z poglądem, iż konieczne jest ustalenie hierarchji potrzeb, które miałyby być przez Państwo pokrywane. Jeżeli jednak słowa autora miałoby się rozumieć w zwulgaryzowanej formie, że poprostu w obawie podcięcia źródeł dochodu społecznego należy ostro redukować zakres potrzeb, pokrywanych przez Państwo, względnie instytucje publiczno - prawne, (a obawiam się, że taka wulgaryzacja pojawić się może bardzo łatwo), to z tym poglądem zgodziłbym się nie mógł. Nie mógłbym podwójnie. Przedewszystkiem takie pojmowanie sprawy uważałbym za kierowanie polityki oszczędności w budżetach publicznych na drogę najmniejszego oporu. Nic łatwiejszego, jak skreślić rozmiar świadczeń i zmniejszyć budżety publiczne, pozostawiając funkcjonowanie organów publiczno - prawnych równie drogiem przy zmniejszonym zakresie pracy, a więc właściwie podrażając je jeszcze bardziej. Dlatego też wolałbym uwypuklić inne zdanie, z artykułu p. Meyera, zdanie, iż „sztuka budżetowania to sztuka pokrywania największych potrzeb społecznych z naj-

*) Powolny proces. Dwanaście koszów ułomków. S. Meyer. „Gospodarka Narodowa“ Nr. 4 i 5. 1935.

mniejszym uszczerbkiem dla życia gospodarczego". Drugi moment, który musi tu być, zgodnie bodajże z intencjami autora podniesiony, to to, iż polityka oszczędnościowa z punktu widzenia określonej instytucji publicznej nie zawsze okazuje się polityką oszczędnościową w płaszczyźnie całokształtu gospodarstwa społecznego. Przykładów przerzucania wydatków na kogoś innego, czyli pseudooszczędności, mamy przecież aż nadto.

W drugim artykule p. Meyer stara się przenieść punkt ciężkości rozważań polityczno - gospodarczych z problemu podziału dochodu pomiędzy wieś i miasto na problem wielkości i sposobu pobierania obciążeń publicznych. I tu znowu mam kłopot. Podzielam zastrzeżenia dotyczące konstrukcji naszego podatku dochodowego, a co do podatku obrotowego to poprostu nie śmiałbym oponować, p. Meyerowi w obawie, że mnie zastrzeli „jakimś Belizarjuszem" czy stosowną dynastją egipską. Sądzę natomiast, mówiąc nawiasowo, że autor przecenia kwestję formy podatków, nad którą w mojem przekonaniu dominuje kwestja ich wysokości. Największe zastrzeżenia nasuwa mi zlekceważenie przez p. Meyera sprawy rozdziału dochodu społecznego pomiędzy wieś i miasto, i to nasuwa niezależnie od tego, iż nie mogę się zgodzić z poglądem, że rola Państwa w kształtowaniu dochodu społecznego miałaby ograniczyć się do krajania bochenka na miejski i wiejski kawałek. Szczegółowo poruszam tę sprawę w następnym ustępie mojej trzy - frontowej polemiki. Tu natomiast pragnę zaznaczyć, iż zapewne uzgodnilibyśmy z p. Meyerem nasze poglądy znacznie łatwiej, gdyby we wspomnianych artykułach było wyraźnie podkreślone, iż w grę wchodzi nietylko wielkość bochenka, ilość koszów z ułomkami. ale i ilość nasyconych brzuchów. Za wielką zaletę każdego stanowiska, a więc i stanowiska p. Meyera, uważam zawsze mocne akcentowanie postultów długofalowych. Ale w mojem przekonaniu postulaty te powiny się zgadzać z postulatem normowania zbyt już jaskrawych i dotkliwych dysproporcyj w rozdziale dochodu społecznego.

Niedomówienia w niedomówieniach.

P. Rudziński polemizując z p. Meyerem zanalizował związek pomiędzy rozdziałem „obecnego" dochodu społecznego a wielkością „przyszłego"*). Tem samem stanęliśmy już poza płaszczyzną tezy, jakoby jedyną rolą Państwa mogło być takie lub inne dzielenie „danego" dochodu bez możności wpływania na jego wielkość.

Przed pół rokiem podkreślanie tego momentu uważałbym za zbyteczne, teraz uważam je za potrzebne. Potrzebne, bowiem ostatnio dawały się słyszeć głosy, odmawiające Państwu wszelkiej możliwości wpływu na wysokość dochodu. Głosy niesłuszne. Jeśli bowiem pominiemy nawet kwestję bezpośredniego wpływu polityki państwowej na poziom dochodu poprzez nakręcanie konjunktury, (a przecież nawet najbardziej konsekwentny deflacjonista nie będzie kwestjonował tego, że nakręcanie konjunktury może dochód zwiększyć przynajmniej czasowo, choćby kosztem przyszłości i że w każdym razie zastosowane we właściwym czasie na pięć minut przed godziną automatycznej poprawy, może ją przyśpieszyć) — to w każdym razie nie możemy przecież zaprzeczać, że możliwość zwiększania lub zmniejszania dochodu tkwi w samej możliwości regulowania jego rozdziału. Dlatego też istnieje nawet doktryna, która wahania konjunkturalne wyjaśnia właśnie zakłóceniami w rozdziale dochodu społecznego.

Rzecz inna, że p. Rudziński stanął na stanowisku, iż w ustroju kapitalistycznym wzrost akumulacji kapitału, a więc proces, warunkujący zwiększenie przyszłego dochodu społecznego, jest sam zkolei uwarunkowany nierównym i pogarszającym się podziałem. Stosując tę formułę do zagadnienia wsi i miasta, p. Rudziński wygłasza pogląd, iż postulat korygowania rozdziału dochodu na rzecz wsi (społecznie i politycznie słuszny) gospodarczo uzasadnić się nie da.

Zarówno generalną formułę p. Rudzińskiego, jak jej praktyczne zastosowanie do stosunków wiejskich, znamionują jednocześnie siła i słabość, właściwe uproszczeniom, prawidłowym teoretycznie, ale nie uwzględniającym momentu miejsca i czasu. Uwzględnienie tego momentu prowadzić nas musi do stwierdzenia, że żyjemy w ustroju „półkapitalistycznym". I to w ustroju, w którym nawet kapitalistyczny odcinek gospodarki nie jest odcinkiem wolnym, lecz związanym. Przy takim stanie rzeczy „normalny" bieg procesu akumulacji kapitału nie odbywa się tak, jak go przedstawił p. Rudziński, zwłaszcza ze względu na poważną rolę kapitału zagranicznego. Pozatem wydaje mi się, iż w rozumowaniu p. Rudzińskiego nie została dostatecznie uwzględniona cykliczność przebiegu procesów gospodarczych która sprawia, iż w okresie depresji zwiększenie dysproporcji w rozdziale dochodu nie wywołuje zwiększenia akumulacji rzeczowej, odwrotnie zaś, w okresie wysokiej konjunktury, nawet przy słabnących dysproporcjach. umożliwia postępy akumulacji rzeczowej. Skorzystam tu zresztą z tego, iż przy okazji dyskusji ubezpieczeniowej i omawianiu kwestji poziomu płac poruszony był analogiczny problem i powołam się na przytoczone wówczas argumenty p. Turowskiego i moje.

Jeśli chodzi o odcinek wiejski, to tu właśnie w dziesiejszym czasie i u nas jaskrawo występują zjawiska dekapitalizacji, wywołane nie czem innem, jak jaskrawem naruszeniem równowagi w rozdziale dochodu. Przywrócenie tej równowagi, czy powiedzmy skromniej, nieznaczne nawet w skali całego dochodu społecznego zwiększenie udziału wsi,stworzyłob y hamulec dla tych procesów dekapitalizacyjnych, ułatwiając tem samem zwiększenie dochodu społecznego w następnej fazie konjunkturalnej.

Zdaję sobie sprawę, że w tych szczupłych uwagach nie wyczerpałem całej kontrowersji z p. Rudzińskim. Natomiast wydaje mi się, że gdyby w na-

*) Niedomówienia. J. Rudziński. „Gospodarka Narodowa", Nr. 6, 1935.

szym półkapitalistycznym ustroju częściowe korygowanie dochodu społecznego nie weszło w krew, nie stało się postulatem, który się nie da obalić, gdyby p. Rudziński miał rację, mówiąc, że „każdorazowe korygowanie podziału odsuwa osiągnięcie wytkniętego celu", to dyskusję należałoby przenieść z płaszczyzny polityczno-gospodarczej na zasadniczą płaszczyznę społeczną. Mówiąc prościej, jeśli również w ustroju „półkapitalistycznym" antynomja pomiędzy dążeniem do zwiększenia i do sprawiedliwego rozdziału dochodu społecznego jest nieuchronna — to stajemy wobec bardzo prostego wyboru. Oczywiście mam na myśli „wybór" pomiędzy ustrojami społeczno-gospodarczemi. Na tem właśnie polega niedomówienie w „Niedomówieniach".

NOTATKI

PODATEK OD DZIECI

Kwestja zbierania od dzieci składek na różne cele i instytucje w szkołach była niedawno przedmiotem ożywionej dyskusji prasowej, która została zamkniętą zarządzeniem M. W. R. i O. P., ograniczającem możliwości ściągania tych składek.

Kwestja powyższa może być rozważana pod różnemi kątami widzenia, nas w tem miejscu obchodzi jednak tylko jeden. Nie ulega żadnej wątpliwości, że ściąganie składek na cele społeczne przez władze szkolne musi mieć zawsze charakter przymusu, niezależnie od intencyj. Jeśli jako rzecznik danej instytucji społecznej występuje nauczyciel, to uczeń będzie obawiał się nie dawać składek. To zrozumiałe, tem bardziej zrozumiałe ż w prasie mówiono o wypadkach stosowania sankcyj do opornych. Nawet jednak bez wszelkich sankcyj można zawsze wytworzyć wśród dzieci atmosferę przymusu moralnego. Jeśli taka rzecz dzieje się wśród dorosłych, to wszystko może być w porządku. Ale z dziećmi inna sprawa. Dziecko niema własnych dochodów i pieniądze muszą dawać rodzice, muszą nieraz dawać na cele obce im a nawet niesympatyczne, w obawie iż dziecko ich będzie szykanowane przez władze szkolne, lub przez kolegów o ile została wytworzona atmosfera przymusu moralnego. Sięganie do kieszeni rodziców drogą zagrożenia dziecka jest to wysubtelniony kidnapping.

Wiadomo że zorganizowane życie społeczne nie może istnieć bez przymusu, ale zakres tego przymusu i sposób jego realizacji jest przewidziany ustawami. W szczególności jeśli chodzi o świadczenia pieniężne, to Minsterstwo Skarbu nie może ich nałożyć bez zgody sejmu. Istnieją takie instytucje jak L. O. P. P., uznane za instytucje wyższej użyteczności publicznej, których waga dla państwa jest niekwestjonowana, a jednak Państwo nie stosuje przymusu do swych funkcjonarjuszy, by do nich należeli.

Słusznie — gdyż było by to niezgodne z prawem. A w szkolnictwie wytwarza się w tej lub innej formie przymus świadczeń przez dzieci, świadczeń, które tą drogą stają się podatkiem płaconym przez rodziców. Abstrahując od instytucyj jest to podatek od dzieci, gdyż jeśli ktoś ma troje dzieci w szkole to płaci aż trzy składki np. na L. O. P. P., lecz gdybyż przynajmniej na L. O. P. P. i tylko na L. O. P. P. W kraju dużego przyrostu ludności podatek od dzieci może być wydajny, ale stanowczo jest szkodliwy i nieuzasadniony żadnemi względami i to nietylko gospodarczemi i prawnemi.

z. sz.

A JEDNAK SIĘ KRĘCI

Od wielu lat ziemia polska eksportuje ludzi, którzy nie mogą znaleźć na niej zatrudnienia. Wiadomo powszechnie, że eksportujemy tylko ręce robocze, bez kapitałów, i że znikomą była nawet emigracja robotników kwalifikowanych oraz inteligencji. Wiadomo, że robotnik polski pracował i pracuje na emigracji przeważnie w zawodach wymagających najcięższej pracy fizycznej i najgorzej opłacanych. Dotyczy to w szczególności emigracji do krajów europejskich, w których polska emigracja rolniczo-osiedleńcza jest nieliczna.

Warunki pracy w obcem i przeważnie niechętnem środowisku są ciężkie, naskutek czego możliwości awansu socjalnego są bardzo utrudnione. Lecz mimo to masa emigracyjna wyłania z pośród siebie jednostki, które wyłażą na wyższe szczeble drabiny socjalno - gospodarczej, jednostki, które stają się coraz liczniejsze, stają się warstwą socjalną w łonie naszej emigracji. Proces tworzenia się tej warstwy niema badaczy, którzy by go systematycznie śledzili i niema swych monografij. Jest tak trudno uchwytny i mało napozór efektowny, że prasa codzienna kraju poświęca mu zaledwie kilkuwierszowe notatki np. o zorganizowaniu się związku polskich kupców i przemysłowców we Wschodnej Francji. W okresie kryzysu i powszechnego wzrostu ksenofobji i utrudnień emigrantów, fakt taki ma swoją wymowę. Mówi, że — „jednak się kręci". Że masa emigrancka wyłania z siebie warstwę ekonomicznie silniejszą, do której jest trudniej stosować szykany, która nie pobiera płacy, ale płaci podatki, którą stać bez pomocy zzewnątrz na utrzymywanie więzi kulturalnej z krajem, i którą może kiedyś stać będzie na wytworzenie również i mocnych, trwałych więzi gospodarczych. A może również potrafi ona wyłonić ze siebie i elitę umysłową, jak to się zresztą już dzieje w Stanach Zjednoczonych, gdzie polska emigracja stworzyła już swoje wyższe uczelnie i wyłoniła z pośród siebie pracowników naukowych. Powoli więc emigracja polska przestaje być jedno warstwową masą a staje się bardziej skomplikowanem i bardziej pełnem społeczeństwem.

z. sz.

ZĄBKI JAK PEREŁKI

Jako dodatkowe zajęcie robił pewien dr. med. eliksir do zębów. Później pod naciskiem polskich ustaw gospodarczych zrzekł się przyjemności laboratoryjnej produkcji, ustępując recepty drobnej wytwórni kosmetycznej, za wynagrodzeniem procentowem. które mu dawało około zł. 50.— rocznie.

Nie jest to duża kwota, ale każda wielkość, jak mawiał Ludwik XV, składa się z sumy drobiazgów. A zł. 50.— rocznie, to pozycja, z której można zbudować dobrobyt, byle powtarzała się często i wielokrotnie.

Laboratorjum też niewiele więcej zarabiało. Towar miał ograniczoną ilość konsumentów i dawał pewnemu kółku obrót gospodarczy.

Ale od czego stawka na małego człowieka? Ze względów na zdrowie publiczne, na zdrowie „małego człowieka", należy tylko zarejestrować preparat i można go nadal wyrabiać i sprzedawać.

Rejestracja kosztuje od pierwszych czterech składników zł. 100.—, a od każdego następnego zł. 10.— Eliksir złożony jest z 26 składników. Rejestracja kosztowałaby zł. 320.— Dla pokrycia tego wydatku trzebaby, aby doktór sprzedawał swój specyfik bez zarobku lat 6 z górą.

Wniosek praktyczny: doktór zarzuca swój eliksir.

Wniosek gospodarczy: obrót zastępczy większych wytwórni nie zatrudni żadnego nowego robotnika.

Tendencja rozwojowa: ku koncentracji kapitału, ku poparciu większych wytwórni.

Wniosek kosmetyczny: Odol z Kalodontem zostają na placu; i bez Dr. X. ząbki jak perełki.

Stawka na małego człowieka pozostaje nadal w sferze haseł, a nie postulatów.

s.

OBJAWY WIELKICH PRZEMIAN

Gazety codzienne ogłosiły krótki komunikat o układzie handlowym między Litwą i Z.S.R.R., na mocy którego ma być dokonywana wymiana litewskich produktów *rolniczych* na sowieckie towary *przemysłowe*. W ten sposób Z. S. R. R. obejmie w stosunku do Litwy tę rolę gospodarczą, jaką dotychczas odgrywały Niemcy.

Oczywiście że na zawarcie tego układu wywarły wpływ decydujący względy polityczne. Oczywiście, że Z. S. R. R. nie jest w stanie dostarczyć wszystkich artykułów przemysłowych dostarczanych przedtem przez Niemcy. Zastrzeżenia te nie zmieniają jednak sensu wydarzenia, jakiem jest wystąpienie Rosji w stosunku do jednego z europejskich krajów jako odbiorcy w zakresie produktów rolniczych oraz dostawcy przemysłowych. Nie zmniejszają również doniosłości wydarzenia.

Z. S. R. R. został uprzmysłowiony. Stał się wybitnie samowystarczalny w zakresie przemysłowym, wystąpił jako eksporter w tym zakresie najprzód w Azji i zaczyna wkraczać do Europy. Z poszczególnemi artykułami przemysłowemi. Z. S. R. R. występował na rynkach europejskich już dawniej, ale jako generalny dostawca wystąpił poraz pierwszy. Jest to memento dla wszystkich uprzemysłowionych krajów zachodnio - europejskich. które wstąpiły na drogę samowystarczalności rolniczej i zamykają swe rynki dla rolniczych krajów środka i wschodu Europy. Z. S. R. R., aczkolwiek pobita naskutek ujemnego wpływu kolektywizacji na własną wytwórczość rolną, przyjmuje na siebie dotychczasową rolę uprzemysłowionych mocarstw zachodnio - europejskich. Prawda, że nie jest w stanie czynić tego w tak szerokim zakresie, ażeby wyrównać zmniejszenie się zbytu artykułów rolniczych, spowodwane protekcjonizmem agrarnym artykułów rolną Niemiec, Francji, Anglji i Włoch. Prawda, że Z. S. R. R. również ze względów finansowych nie może kupować zbyt dużo, ale może konserwować swoje zakupy w krajach niedużych, dla których te zakupy mają poażne znaczenie. W praktyce Z. S. R. R. kupuje artykuły rolnicze w krajach bałtyckich, usiłując w pewnym stopniu zastąpić dla nich rynek niemiecki i angielski. Niewiadomo napewno czy ekonomika rządzi polityką czy odwrotnie, ale że są one współzależne, to napewno. Kto ma uszy, niech słyszy.

z. sz.

DOBRY KAWAŁ

We Francji pisze się teraz bardzo dużo o Polsce. Bardzo dużo naogół nieprzyjaźnie. Chodzi, oczywista, o rozgrywki natury politycznej.

...Dość, że w prasie francuskiej wymyśla się Polsce bardzo gruntownie na tematy polityczne, a natomiast milczy co do gospodarczych. Bo i cóż powiedzieć? I w Polsce i we Francji zdają sobie wszyscy sprawę, że obecna sytuacja na polu gospodarczym w stosunkach pomiędzy obu krajami oznacza stałe i niezmienne krzywdzenie Polski przez Francję, krzywdzenie, którego Francja ani przerwać ani poprawić nie chce. Lepiej więc nie pisać o tych sprawach wcale...

Aliści czasami trzeba się znaleźć w sytuacji przymusowej. Wielki radykalny dziennik paryski „Republique", wpadł na doskonały zresztą pomysł zamieszczania codziennie jednej kolumny z przedstawieniem sytuacji gospodarczej pewnego określonego kraju. Kolejno przechodzono więc Belgję, Niemcy, Szwajcarję—aż do Tunisu i Persji włącznie. I tutaj Polski nie dało się ominąć.

I rzeczywiście na kolumnie „polskiej" obok statystyk, wykazujących rozwój naszych stosunków gospodarczych w ostatnich czasach, znalazł się artykulik o „Złotym i Bloku Złotym", w którym niejaki p. Vial po skonstatowaniu korzystnej sytuacji złotego i wzrostu obrotów w polskim handlu zagranicznym powiada, co następuje:

„A przecież Polska nie kieruje swej polityki handlowej w kierunku krajów Bloku Złotego. Nie z niemi stara się o rozwój handlu. Robi to z krajami bloku sterlingowego (o czem świadczy układ

węglowy z Anglją) a zwłaszcza z Niemcami, wczoraj pogardzanemi, a dziś w pełnych łaskach".

Dobry kawał... Doszło do tego, że w Paryżu „skarżą się", że nie chcemy z nimi handlować. We Francji, która od trzech lat obcięła nam dwie trzecie naszego wywozu na jej rynek i za żadne skarby nie chce nam udzielić żadnych ustępstw. Kto z kim nie chce handlować, panie redaktorze Vial?... Komu tu mówić o stale rozwijających się obustronnie stosunkach polsko - angielskich i kłuć w oczy wiadomościami (wyssanemi z palca zresztą) o jakiemś uprzywilejowaniu handlu niemieckiego w Polsce?...

k. p.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA" CZESŁAW BOBROWSKI

SEKRETARZ REDAKCJI ZOFJA CIECHOMSKA

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4. TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Druk. Piotra Laskauera, Warszawa, Marjensztadt 8.